

## • TREŚĆ NR V•49-EGO •

M. SZVKIEWICZ: WIERSZ  
 ST. PRZYBYSZEWSKI: NA DROGACH  
 DUSZY. II. GVSTAW VIGELAND  
 EWA ŁVSKINA: W KREGV DOMOWEJ  
 LAMPY  
 ALF: ANIMA TERRAE  
 MORTVVS: CZŁOWIEK - KOBIETA. —  
 (Z CYKLV VPADEN)  
 JERZY ŻVŁAWSKJ: Z CYKLV «KRÓ-  
 LEWSKIE SNY». PIEŚŃ MIŁOŚCI  
 JERZY KARASEK: Z NAJMŁODSZEJ  
 LITERATVRY CZESKIEJ  
 KSIĄŻKI  
 Z MVZYKI  
 ODPOWIEDZI REDAKCYI

## Z Y C I E

TYGODNIK ILLVSTROWANY  
 LITERACKO - ARTYSTYCZNY

SKŁAD REDAKCYI:  
 LITERATVRA: STANISŁAW  
 PRZYBYSZEWSKI. SZTVKA:  
 STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

«ŻYCIE» WYCHODZI W KRAKOWIE  
 W KAŻDĄ SOBOTE  
 ABONAMENT KWARTALNY Z PRZE-  
 SYLKĄ ŻŁR. 2-60, ROCZNY ŻŁR. 10-40  
 PRZEDPŁATE PRZYJMVE ADMINI-  
 STRACYA «ŻYCIA» VL. KARMEŁICKA  
 22 (OTWARTA CODZIENNIE OD 10—1  
 Z RANA, W NIEDZIELE OD 11—12)  
 KSIĘGARNIE I BIVRA DZIENNIKÓW  
 W GALICVI  
 W NIEMCZECH VRZĘDY POCZTOWE,  
 W WIEDNV SKŁAD GŁ. W KSIĘ-  
 GARNI FR. BONDEGO  
 CENA POJEDYNCZEGO NVMERV 25  
 CENTÓW  
 INSERATY JEDNORAZOWE WIERSZ  
 20 CENTÓW

\*

W PACHNĄCYM DVSZY MEJ OGRODZIE, BAŚŃ CZARODZIEJSKIE PASMA PRZĘDZIE,  
 NA NIEZAMĄCONEJ BVRŻĄ WODZIE MOJE NATCHNIONE ŚPIĄ ŁABĘDZIE  
 I KWITNĄ W DŁVGIE DWA SZEREGI LILJE NIEPLAMNE JAKO ŚNIEGI.

Z ODEMKNIONEMI WCIAŻ KIELICHY WSTECZ OBRACAJĄ SMĘTNE TWARZE,  
 AŻ ZEJDZIESZ NIBY ANIOŁ CICHY TE ZIELONE WIRYDAŻE,  
 A ONE PRZED TWĄ WIELKĄ WŁADZĄ, RÓŻOWE WSTYDEM, POKŁON DADZĄ.

O PRZYJDŹ! NAD KAŻDYM BVJNYM KWIATEM NIECH SIĘ KRÓLEWSKOŚĆ TWOJA ZNĘCA!  
 ŁAM JE, AŻ SPŁONĄ KRWI SZKARŁATEM I KONAJĄCE WPLEĆ DO WIEŃCA  
 I NIECH TA NIEMA MĘKA KWIATV MNOŻY BLASK TWEGO MAJESTATV.

O PRZYJDŹ! WSZAK Z CIEBIE TO W MYM SADZIE WYROŚNIE DLA MNIE KRZEW BAJECZNY,  
 W KTÓRECO CIENIE KTO SIĘ KŁADZIE ZASYPIA CICHU NA SEN WIECZNY  
 I W WYZWOLONE PIERSI CHŁONIE NADZIEMSKIE I MISTYCZNE WONIE.

O PÓJDŹ! CAŁVJĄC KRAJ TWEJ SZATY POWIODEŃ CIĘ W ALEJE SREBRNE,  
 DO KOLAN TWOICH VGNEŃ KWIATY, ŁABĘDZIE DAM CI ZA SŁVŻEBNE  
 I RZVCĘ POD TWE ŚLICZNE STOPY NAJCZYSTSZE DVSZY MEJ CHYZOPY.

MACIEJ SZUKIEWICZ.

Pannie Dally Oziębłowskiej

Autor.



## ST. PRZYBYSZEWSKI: NA DROGACH DUSZY.

## II. GUSTAW VIGELAND.

»Dwoje młodych«<sup>1)</sup> nazwał Vigeland grupę przedstawiającą mężczyznę i kobietę. Mężczyzna przypadł do kolan kobiety i obejmuje je całą zaciekłością żądy. Pragnie jej, a wściekły głód ciała wykrzywił mu usta bolesnym kurczem. Słysząc jego bełkotanie, świszczanie dławionego pożądaniem gardła, czuć drzenie przedrażnionych nerwów i szczęknięcie zębów w wstrząsającej febrze. Ona się poddaje, upada na wół, siania się, jedną ręką zakryła oczy, by wstyd jej ich nie wypalił, objęła ją już rozpalona fala, co rozum wypieka, tylko na ustach bolesne, nieświadome przeczucie trwogi, bólu, oczekiwania tej strasznej piękności oddania się. I padnie, padnie w jego brutalnym zapamiętaniu zmysłów, w kipiących żarach krwi odda mu się, by go zaspokoić, i pograża się w niemej ekstazie ciała — ekstazie, która nie zaspakaja, tylko nerwy szarpie i targa.

A ona? Ona powstanie pełna wstrętu i obrzydzenia ku mężczyźnie, który ją skalał i odarł ją z tego, czego już nigdy nie odzyska: czystości, niepokalania. Będzie się go bać, unikać go, uciekać przed nim, a tymczasem nienasycone piekło jego żądy wybuchnie wulkanem, krew mu mózg zaleje: nic już nie widzi prócz lśnienia jej nagiego ciała, nie czuje nic prócz gorączkowego drżenia tego ciała, przestaje być sobą, staje się zwierzęciem i gwałci kobietę.

Pochwycił uciekającą, omdlałą ze strachu. Padła już na kolana a w upadku schwyciła się pnia drzewa. Jednym skokiem dogonił ją, objął ją wściekłą ręką gdyby stalowem lasso, a twarz swą wpił zębami dzikiego zwierzęcia w jej szyję. Ten rozbestwiony szal, ten ból żądy, zdołali przedstawić jeszcze tylko Japończycy i Felician Rops. Ale u Ropsa to jeszcze z rozkoszą połączone. Robieta Ropsa da się wciągnąć we wściekły wir szaleństwa. Krzyczy, szaleje z rozkosznego bólu, przestaje być już kobietą a staje się opętaną świętą. Przytem Rops jest literatem, uczniem Baudelaira, Barbey d'Aureville'a, uczniem starszych diabolologów, Bodinusa, De Lancre'a — w utworach jego przejawia się zawsze tradycja czarnych mszy. Vigeland, Munch, Japończycy są uczniami bezpośredniego życia, kipiącego, wrzącego a tak niezmiernie bolesnego życia płciowego wokół.

A ten straszny ból, ten odwieczny ból rozrodu tak przesiał i przesycił ich erotyczne utwory, że przestają zupełnie działać na zmysły, a stają się objawieniem bezmiernych otchłani duszy.

To już nie ta osobista zmysłowość artysty, która erotyczny utwór czyni zmysłowym a nawet »obscène«: erotyka ich pozbawiona wszelkich zmysłowych znamion. To chuć<sup>2)</sup> sama w sobie, straszna, okrutna potęga natury, która dwoje ludzi rzuca na siebie, — natura która się miłością jako środkiem posługuje.

Na japońskich rysunkach przedstawia się rozkosz płciowa jako straszna męka. Członki powykręcane jakby w epileptycznych kurczach, palce powykrzywiane, nerwy zdają się rwać na kawałki, kobiety leżą jak w walce przedśmiertnej, w pozach, jakie tylko kunsztownie za pomocą katalepsyi wywołać można. To już nie kopulacja dwóch istot, to nieludzka, symboliczna kopulacja całej natury.

Ta sama męka, ale już przeważnie w duszy dokonana, jest treścią erotycznych dzieł Vigelanda.

<sup>1)</sup> Patrz reprodukcja nr. 42.

<sup>2)</sup> Nie ma niestety w polskim języku wyrażenia na »Geschlecht«, które i chuć i pożądanie i narządy płciowe obejmuje — a więc jak dotąd tak i nadal będę używał słowa: chuć.

Jeden z jego utworów jest niezrównany swoją pięknnością.

Kobieta klęczy, głową się w ziemię zaryła, oblana strumieniem swych włosów. A na niej leży klęczący mężczyzna. Oboma rękoma ujął jej ciało, wdusza je w siebie, całą siłą bólu wgniata w siebie jej drobne ciało i wpija się swoją twarzą w jej plecy.

To tragedia młodego dziewczęcia, co się może już z innym związała, a może tragedia cudzołżnicy. Ból przestał być bólem. To już bezmyślne staczanie się w przepaść, to oddanie się szatanowi grzechu bez woli, bez siły. Walczyła, szarpała się ze sobą aż do ostatniej chwili, ale jego dyszące pragnienie zmogło ją. Ale teraz kiedy już osiągnął cel swych żądz, nie ma siły aby ją posiąść. Wgniata ją tylko w siebie, jakby się chciał jej ciałem owinać — i czuje w bolesnej trwodze, jak żądza zanika, a szczęście, którego tak pragnął, męką się staje.

Nie! niema szczęścia dla biednych »exules filii Hevae«, a miłość, miłość, którą się mieli potęgować, w niebo wyrastać, odnowa zdobyć niezemskie rozkosze utraconych rajów — otóż miłość staje się nową męką, nowym bólem, zawiścią a gniewem.

Szatan, ojciec złego sumienia, zły szatan, co łamie oliwne gałęzie spokoju i szczęścia, opanował miłość biednego Adamowego plemienia.

Jeden z diabolologów średniowiecznych Crespet<sup>1)</sup> opisuje detalicznie wszystkie środki, jakich szatan używa, by miłość w ohydę i obrzydzenie zamienić. Ale żaden ze środków, które przytacza, nie jest tak silny i skuteczny, jak wywołanie nieufności i podejrzania w duszy mężczyzny przeciw kobiecie. Za pomocą wątpień najłatwiej rozluźnia i rozbija się synteza płciowa, każde drgnienie żądy zamienia się w nienawiść, w kałużę, w śmiecie.

A czy istnieje kobieta, którejby mężczyzna mógł bezgranicznie zaufać? Czy istnieje kobieta, głucha na podszepty szatana?

Upadła kobieta i do szaleństwa męką znękaną mężczyzna, oto główny rys »erotycznych« utworów Vigelanda. Ale w żadnym nie odtworzył go z taką siłą jak w »Tviler« — (człowiek, który przestał wierzyć kobiecie.)

Na łono siedzącego mężczyzny padła zrozpaczona kobieta. Nie widzi, nie czuje on tego, podparł głowę ręką i patrzy w górę z wyrazem nieopisanego bólesci.

Przestał już walczyć i łamać się ze sobą. Opanował go demon najgłębszych i najdelikatniejszych instynktów samca — samca, który wymaga od kobiety bezwarunkowej czystości.

A ta kochanka jego już leżała w obcych objęciach, tuliła się tą samą żądzą do obcego ciała. A myśl ta padła na urodzajną ziemię, zakorzeniła się i wyrosła w tropicznym cieple jego dusznej gorączki w straszliwy krzew.

Z początku było to tylko niemiłe uczucie, potem stało się ogniskiem gangreny, a teraz już się jej dotknąć nie może, bo ustawicznie myśli o swych poprzednikach.

Cyniczne uczucie bezwiary i nieufności w miłość która tak często swoją podejrzaną łaską na tyłu mężczyzny spływała, — przeświadczenie, że w życiu tej kobiety jest tylko bieżącym numerem, małą jakąś stacyjką przydrożną, doprowadza go do obłędu.

Szalał, aby ją odnowa w sobie odrodzić, nową, niepokalaną, ale wszystko napróżno, bo oburzona dusza wciąż odnowa ją wypluwa, a wyciągnie po nią rękę, to najchętniej ją nogą kopnął.

<sup>1)</sup> Deux livres de la hayne de Sathan... 1590.



A w to straszne piekło miłości, w tę rozpasaną mszę rozpaczy, w to straszliwe »officium desperationis« wpada nagle wściekła błyskawica: krzyżący tryumf chuci, grzmiąca fanfara krwi, radosne Allelujah zrośnięcia, stopienia się dwóch ciał w namiętym, dyszącym pocałunku.

Siedzący mężczyzna trzyma kobietę, gdyby dziecko w swych ramionach Objęła dzikim uściskiem jego szyję, zwinęła się w gwałtownych dreszczach, skuliła się, wpełzła prawie w siebie, a usta ich zżarły się w ssącym pocałunku.

A wreszcie dzieło niezrównanie piękne królewskim swym majestatem, niepokalaną czystością, dokonanie zakonu, który nas stworzył, potężna woła natury, aby rodzajowi ludzkiemu nie było końca:

Splot dwóch ciał w jedno, wielkie święto instynktu; chwila świętej miłości, w której człowiek z głupich trzech wymiarów wchodzi w świat inny, staje się bezczasową, bezprzestrzenną, metafizyczną istotą, zlewa się z całą naturą i zapada się w wieczność:

»Na białym krzyżu jej ciała« rozpostarty mąż, odwieczny Prometeusz, co nieci w kobiecie iskrę życia, przyszłości...

Ale to wszystko, to tylko chora tęsknica człowieka, co przestał już zawierzać swej kochance. Tak chciałby się z nią stopić, ciało swe spleść z jej ciałem, ale poprzednicy jego wciąż ich rozrywają.

A może mógłby ją odnowa w swej duszy odrodzić, może mógłby się uwolnić ze szponów szatana, może wtedy, gdyby się sam w czystości i świetle odrodził.

O tak!

Bo jest jedna przepiękna, świetlana chwila, w której wszystkie żądze głuchną, wszystkie pożądania samca cichną. Jest miękki ból tęsknoty — tęsknoty, co płynie po nad wszelkim przestworem, nad wszystkimi morzami, płynie, gdyby mewa polarna, co tęskni do swej ojczyzny,

Kiedy pod wieczór jesienne słońce gaśnie w metalicznym jaśnieniu, kiedy morze i niebo w jedno spływa, a biała łaska cichych gwiazd dżdży na ziemię srebrną rosą — kiedy święci się cisza, że odczuwasz oddech obumierającej ziemi — kiedy dźwięk i barwa i kształt stapiają się w ciepłych drzeniach tęsknoty i całą ziemię od jednego końca do drugiego opływają — och wtedy — wtedy obejmuje, tuli do siebie wielki bezbolesny spokój biedne serce człowiecze.

To nastrój »tańca« Vigelandy.

Samiec zapomniął nagi przepych jej ciała. Zapomniął i pogrzebał kobietę z jej chucią i jej żądzą, stała się sercem jego serca, a serce obojga drobną cząstką zakrwawiającego się serca wszechświata.

I tulą się ku sobie, gdyby para mew, którą burze jesienne zagnały na rafę ostrej skały i tulą się ku sobie, bo wreszcie spokój znaleźli.

Odpadł ziemski ciężar ich ciał, a wielka tęsknota zmroku i gwiazd spowicia niesie ich niesie ponad ból wszelki, nad stęchłą nędzę życia, nad gniew jego i zawiść....

Jest — jest szczęście, ale nie z tego świata.

Jedno tylko jeszcze potężne dzieło, w którym Vigeland zeszytetyzował cały swój światopogląd, odlał całą swoją mroczną, ponurą duszę:

W pośrodku olbrzymiej płaskorzeźby siedzi szatan z twarzą wlepioną w kurczowo zawarte pięści. Czoło

szerokie, potężne o dwóch silnych guzach, poorane wewnętrzną męką, usta silnie zaciśnięte, a z pod olbrzymich krzaków brwi wyzierają oczy jakby z dwóch ciemnych jaskiń, oczy, w których w zdławionych krzykach bólesci zastygła potężna, ponura, nieprzystępna dusza.

Tak siedzi On, straszny Herkules, co w niemym bólu czuje, jak go wewnątrz koszula Nessusa trującym ogniem trawi, On, tysiącrotnie spotęgowany Napoleon, co w pośrodku tysięcy ohydnie pokaleczonych trupów duma z straszną powagą o tych tysiącach, które muszą jeszcze paść ofiarą. To jest szatan-geniusz, który musi niszczyć, aby wynaleźć nowe środki niszczenia, szatan-Bóg, co ponad sobą czuje jeszcze jakiś nadmózg, matkę Heimarmene, która kieruje nim i włada i zmusza go do coraz to nowych ofiar i zbrodni.

Wszystkie stare mytologie opowiadają o rasie parweniuszów, która strąca z tronów stare bogi i sama nimi owłada. Grecy mieli swego Kronosa, żydzi Lucyfera, których nowe plemię bogów w piekło strąca.

A szatan ten jest piękny arystokratyczną pięknoscią Lucyfera, ojca filozofii i poezji, źródła wiecznych tęsknot i pragnień. Jest piękny urokiem zbrodniczej odwagi i zuchwałości, piękny fanatycznym okrucieństwem anarchisty, któryby brata poświęcił dla idei:

Szatan jest pierwszym anarchistą.

Szatan jest jak każde bóstwo trójjedyny.

Jest bogiem nierządu i kazirodztwa, bogiem zło-dziei i zbrodniarzy. Jego świątynie to domy publiczne i kabinety winiarń, to tingeltangle i nory złoczyńców. I wszędzie wkracza w zwyczajnym pochodzie, do królewskich pałaców, do najnotliwszych sypialń małżeńskich i do klasztorów, ale najchętniej do nędznych baraków wydziedziczonych i zrozpaczonych

Ale jest także Lucyferem, duchem rokoszu i nieufności, ciekawości i nieokiełzanej anarchii. Jest Adonaii zła, bogiem niezadowolonych i ambitnych, bogiem potępionych i szukających; bo wszelkie szukanie znaczy gubienie Boga: Ten szatan to pojęcie zbiorowe wszystkiego tego, za co prawa boskie i ludzkie kary nakładają.

Oni wszyscy są dziećmi szatana: Ci którzy dla idei spokój tysięcy ludzi poświęcają, Alexander a Napoleon — ci, którzy młodzież od wiary starych bogów odwracają, Sokrates a Schopenhauer, — ci którzy w głębie wnioskują i zło ukochali, bo wszelkie zło to głębia, Rops, Beaudelaire, Poe, — ci, którzy się bólem rozkoszują i siedzą na Golgocie ludzkości, Szopen a Schumann, — wszyscy ci, z ziemi porodzeni, co idą uboczem, bo wszelkie ubocze to zbrodnia w znaczeniu ludzkim i boskim.

A wreszcie szatan ten, to Bóg Antychrystowego królestwa, Bóg twórczości i wiecznego odrodzenia, Bóg walki i bezinteresownego poświęcenia się walczących; Bóg od wieków przez Kościół przeczuwany: Antychryst.

Wokół tego szatana szaleje wir ludzi. Cisną się ku niemu, spychają się w dół, to znowu tryszczą w górę zwitymi kłębami cielsk. Z odmętów nóg, ramion, kądłubów, podrzucają się w górę — wściekłe, krzyżące ręce, chwytają go za nogi, czepiają się tronu, zdaje się, że się ze stawów w obłąkanej rozpacz wyrwały.

U dołu dzieli się to potworne łożysko, w którym potępiency szaleją.

Jedna odnoga wyskakuje w górę: dziko pogmatwany splot ludzi, olbrzymie, tysiącrotnie w szmaty pojedynczych ciał podarte cielsko w bolesnych deliriach krzyku: »Libera nos Sathan!« Drugi odłam spada w dół: stos depczących, duszących się ciał, stos skłębionego i zgmatanego robactwa.

Ściągają, stłaczają się wzajemnie, walczą, drapią, kopią się w zwierzęcej zaciekłości z rozpaczoną energią przedśmiertnej grozy i strachu.



Tak rozrywają się ludzie, chcąc się ratować przez wążkie drzwi płonącego kościoła — tak depczą i biją się ludzie tonącego okrętu, by móżdż się dostać do łodzi ratunkowej, ludzie którzy w czasach głodu o ochłap gnijącego ścierwa w kawałki się rozszarpują.

Dalej na lewo gaśnie rozhukany orkan, to już ludzie bez myśli, bez pamięci, skamienieli w bólu i przeświadczeniu, że wszelkie wysiłki na nic się nie zdadzą.

Wszyscy oni tu są — nieszczęsne dzieci szatana: zgrzybieli starcy i niedorośli młodzieńcy, dziewczęta i staruszki, nikogo nie braknie w tej straszliwej mszy rozpacz i grozy.

Oto stępiła prostytutka, co w kałużach brudu zagubiła wstyd, wstręt i obrzydzenie, a teraz zwierzęce, ogłupiałe oczy wlepia w szatana. Oto cudzołożnica, co świętość ogniska domowego skalala swą zbrodniczą chucią, — stary zużyty rozpustnik, któremu nawet w piekle nałożnica na szyi się wiesza, rodzeństwo, żyjące w kazirodczej miłości, rajfurka, co własną córkę na targu żywego mięsa sprzedala, trucicielka i mężobójczyni — wszyscy, którzy składają ofiary na ołtarzu rozpusty, nierządu i zbrodni.

A wreszcie bezmyślny, niewolniczy pies, sługa, lokaj szatana. Stoi wyprężony, w sztywnej, służalczej postawie, z okiem pokornie wlepionem w twarz szatana, który obojętny i głuchy na wszelkie służalstwo, pokorę i oddanie się, patrzy przed siebie w straszliwej potędze jednowładzcy.

Ale szatan potrzebuje tego lokaja. Bo jego plemień, to rokosz i anarchia, pogarda potęgi i wszelkich praw.

Raz wreszcie wyczerpią się męczarnie, potępięcy znieczulą się na wszystkie męki, a wtedy zostanie zagrożone panowanie szatana.

Ale ten chytry i podstępny Judasz wskrzesi nowe męczarnie, nowy jad zbrodniczy wszczepi w ludzkość — szatan stanie się potężniejszy niż kiedykolwiek, strąci uzurpatora, starego Jahveh z tronu, i powstanie w nowej potędze jako jedyny władca nieba i ziemi; spełnią się proroctwa kościoła, bo przyjdzie Paraklet trójjedynego szatana: Antychryst.

I znowu mówi się i pisze wiele, bardzo wiele o jakiejś »nowej« sztuce. Każdy rok obdarza nas »nowym« niebywałym kierunkiem i z każdym piątym rokiem konstatują krytycy, że teraz właśnie wzeszła nowa wiosna sztuki.

Sztuka Vigelanda nie ma nic wspólnego z »nowymi« prądami, »nowymi« kierunkami, nie jest ani stara, ani nowa, jest po prostu sztuką: życiem, namiętnością, szalem i głębią, jest objawieniem duszy.

Nie wielu ich było, tych proroków i arcykapłanów tego świętego testamentu, nie wielu, bo ta sztuka to wybuch wulkanicznych sił, odwieczne zapasy Jakóba z aniołem — sztuka ta, to zawarta pięść, co podwoje nieba rozbija, i piekło porusza, to krzyk, co skłębia całą przyrodę, — orkan bólu w piersiach olbrzyma, co chciał słońce z nieba zerwać, a słońce go zabija.

Ciężka i przepaścista jest droga duszy i coraz rzadziej kroczą nią ludzie w głupim wieku elektryczności i giełdy, lichwy zbożowej i nauki o szczęśliwym i harmonijnym życiu. Ale właśnie ci nieliczni, którzy nią kroczą, są wniebowzięciem rodu ludzkiego; dla naszych czasów są tem, czem byli magowie dla wieków średnich.

I mag, wielki filozof i nieokiełzany fantasta, wtajemniczony prorok i przepotężny poeta w jednej osobie, taki Raymond Lulle, Jan Dee, Paracelsus, oto właściwy praojciec tych, którzy szlakami duszy krocą w naszych czasach.

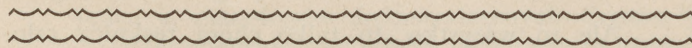
Mag był kosmopolitą ducha, zuchwiałym anarchistą, który nie znał »narodowości«, ni »ludzkości«. Bronił trwożnie świętych swoich tajemnic, nawet najsrozsze tortury nie zdołały nakłonić Alexandra Sethona do wydania kamienia filozoficznego elektorowi saskiemu, Chryścianowi II. Nie wielu było takich, bardzo nie wielu, którym mag odkrywał swoje arkana.

I czyż nowożytny mag nie podobny w tem do swoich braci średniowiecznych?

I on jest bezdomny, niezrozumiany, a święte jego tajemnice ujawniają się tylko nielicznym, bardzo nielicznym.

W epoce, w której woła się o narodowych poetów i sztukę narodową, w której kapitał coraz silniej odgradza narody od siebie i w której socjalizm chce zbić je w jakąś fantastyczną, płaską ludzkość, w tej epoce On jest jedynym, który stoi poza wszystkim, który czci jako swego praojca nie Adama, rodzica trzody, lecz »Samyase«, ojca Jedynego.

A sztuka jego, to nie sztuka dla »ludu«, to nie sztuka chorobliwych, zblazowanych nerwów dla chorobliwych hospitantów wyperfumowanych gabinetów, lecz wiecznie stara, i wiecznie nowa sztuka Jedynego dla Jedynego.





EWA ŁVSKINA:  
W KRĘGV DOMOWEJ LAMPY.

»Oh! rzeki mleczne uciekają wśród ciemności  
\* łabędzie leżą nieżywe pośród zmij...«  
Maeterlinck.

Opinia jej już wtedy była straconą.  
Jakkolwiek dziewicze jej usta kwitły czystsze nad wiosenne narcyze...  
A przecucie rozkoszy nie zamąciło nigdy głębi jej melancholijnych źrenic...  
On znał ją tylko, on — jedyny.  
Jej duszę, wdzięcznego dziecka, pełną nieświadomych potęg i drzemiących błyskawic —  
I jutro tych przebudzeń, i jutro tego jutra.  
Znał mowę chwiejnych cieni, błędzących po jej obliczu.  
Czuł drżenie jej dłoni, tak kruchych, jak okiść lilij, i tak białych jak one. —  
A niekiedy widział zapalające się ogromne światła w posępnym mroku jej oczu.  
Kiedy zasłuchana i milcząca, wchłaniała jego słowa, jego słowa...  
I odczuwał to wszystko i nad tem wszystkim cierpiał. I dlatego ją opuścił.  
Z potwornym wdziękiem artysty.  
A ona jeszcze nic nie rozumiała.  
Upokorzona i bezradna, usunęła się w cień tak cicho i tak trwożnie, jak cicho i trwożnie zapada przestraszona sarna w gąszcz leśny...  
Na tych zawrotnych ścieżkach, któremi ją tak bezpiecznie prowadził jego przewrotny umysł. —  
Czy tam znajdzie wytłomaczenie?  
Ach! ona jest tylko kobietą i tak młodą...  
Idzie teraz na oślep, z lękiem w duszy, z wyciągniętymi rękoma... Cisza rozdzwania się w jej mózgu, strach przygwaźdża jej stopy...  
Po prostu — próżnia.  
Niewysłowna groza, bezcielesna samotność, od której dusza ziębnie i drży...

Wyszła za męża.  
Za pierwszego człowieka, którego fizyczny typ oddziaływał kiedyś na jej nerwy z najwyższą siłą i koniecznością.  
On pragnął jej oddawna, bezwzględnie, całą siłą swej pierwotnej natury.  
Ona — zmieniła się.  
Północ przejrzała się w tych oczach, prześwieciła te rysy — bladeścią i błękitem...  
To było dla niej nowem.  
Zwolna przywykła.  
Jej natura była zarazem apatyczną i pełną żaru — odurzająca narkozą makowego kwiecia...

Raz, w południe, doręczono jej list.  
Przeczytała, pobladła i już dygoczącemi rękoma przypinała kapelusze.  
— Gdzie idziesz? — zapytał mąż, wstający właśnie od stołu, po smacznym obiedzie.  
Nie słyszała, drzwi zamykały się już za nią.

Kona.  
Bardzo po prostu, bardzo zwykle.  
Ułożono go już cicho na żelaznym łóżku pod cienkim kocem, w niebieskie i białe pasy. Nawet rewolwer usunięto gdzieś na bok,

Grupa młodych ludzi otacza kwadratowy stół, w drugim końcu pokoju kiwają głowami, komentują zaszły wypadek.

— Szkoda, szkoda.  
Teraz rozchodzą się.

Ten ma wizyty na mieście, tamten umówione spotkanie, inny śpi popołudniu.

Jeszcze chwila, jeszcze spojrzenie, wpół litosne, wpół roztargnione — życie ich woła — odchodzą.

Jeden zostaje.  
Przyjaciół? Może. —

Chory otwiera oczy.  
— Sam jesteś?

— Sam.  
— To dobrze...

Pauza.  
— Długo to potrwa?

— Względne i nieobliczone.  
Rzuca głową z urwanym jękiem.

— Ona przyjdzie?  
— Tak.

Cisza.  
Za drzwiami lekki szelest. Przyjaciół dyskretnie się wysuwa.

Zamajaczyła mu już w oddali zgorączkowanych źrenic.

Błademi liniami wykwitła z szarego tła powietrza.  
Jaka inna...

Gdzie słodycz jej ustek, światło jej źrenic, senna przejrzystość jej różanego ciała?...  
Coś mgławego w jej wzroku, coś zatartego w ry-

sach, zmatowionych i chłodnych, jak szyba pleśniejącego stawu.

Jego słabe, chude palce, poruszają się niespokojnie.  
— Bliżej...

Posłuszna, przykłęka u wezglowia łóżka.  
Nieruchomieje mu teraz wprost, bielą odchyłonej

twarży. Jej bezmiernie smutne oczy nie mają łez.  
— O! o! jak ja ciebie zupełnie złamałem...

W nagłym zatrzepotaniu jej rzęs zdrzał cień bolesnego pytania.

— Wszak ty wiesz już wszystko? Ty wiesz, że nie dlatego odchodzę... Bólu odczuwać nie zdolnym, a przez to, że umarła we mnie dusza.

Wielkie, gasnące, wszechmocne oczy konającego człowieka.

— A twoja łka nad jej nędzą, i przebacza jej swą mękę?

Nachyla się nad nim, z cichym wyrazem.  
— Przebacza. —

Więcej! co więcej?  
— Kocha...

Ciszej niż echo najtajniejszych snów...  
On przyciąga ją teraz ku sobie, lekko, bardzo

lekko...  
Bezoporna i czysta, głowę na piersiach mu składa,

zimne czoło pocałunkom jego oddaje, słabym, nieskończenie bolesnym pocałunkom, podobnym drżeniu skrzydeł śmy białej, popalanej i mdlejącej...

Ostatni, jeszcze ostatni...  
Bezładne słowa łamią się na ustach z głuchym skowytem, mętna mgła zasnuwa przekrwawione źrenice.

W białą skórę jej przegiętej szyi, w pulsujące i żywe ciało, wpija się jakaś nieludzka już ręka, kaleczącymi paznokciami.

Jeszcze drgnienie, jeszcze jęk...

Ona — powstaje.  
Nie bładą jest, ale szarą .. Kilka kropel czerwieni jaskrawieje na jej szyi.



Z nieodgadnionym wyrazem nie odrywa jeszcze wzroku od tych zastygłych, zmatowanych źrenic...

A teraz oddała się już, oddała... swym lekkim, równym, elastycznym krokiem...

Kłamała.

Kiedy pochylona nad śmiertelnym posłaniem szep- tała słowa miłości i zapomnienia.

Przebaczyła mu swoją tragedię dziecka...

I wszystkie spazmy wstrętu, i wszystkie łkania niewypłakanych rozżaleń...

Ale, zatraty swej królewskiej duszy odpuścić mu nie umiała.

»Są winy przeciw duchowi, dla których na świecie, »ni po za światem — niema przebaczenia.« —

»A prawda — może tylko litość, co wśród obłą- »kań kobiecego serca — wszystko przeżywa...

»A prawda — może miłość, która jest tylko pię- »knością, i która w chwili tego poznania odeszła od nas »właśnie bezpowrotnie...

»I prawda — ten najsmutniejszy smutek, że dusza, »która już bólu nie odczuwa — jest umarłą.« —

Kryształowa harmonia słów, co przestały być har- monią —

W mózgu dziecka, w pamięci dziecka niezrozu- miałe i żyjące.

Ach! ona odczuwała już tylko zmęczenie, bez- brzeżne zmęczenie.

A kiedy tak znużonym krokiem błądzi bez celu szaremi ulicami, wstaje w niej smutne pragnienie spo- czynku, ciszy, ukojenia.

Gdzie je znajdzie?

Tam dom jej, taki jasny i zaciszny...

Czy doń powróci?

I człowiek, który nie jest artystą...

Który dał jej oparcie, opiekę, miłość —

Inną...

Nigdy już ona nie rozkwitnie w ciele wiosennem i młodem.

A fiołkowa jej dusza nie spojrzy dziecka oczami...

...co zadziwione i senne —

pachnące rzęsy rozchyła...

Wróciła.



## ANIMA TERRAE.

Nieba koloryt błękitnawo-biały.  
I lasu ciemno-sine uroczysko  
W krąg okalały niezorane rżysko.  
Po ścierniach gazę pajęczyny słały  
Nad ściernią eter do słońca migoce.

W lesie krew! krwawe liście i owoce.  
Purpura głógów — kalin oczy chwyta  
I ślepi czerwienią, jak wiejska kobieta,  
I pierś swą jak ona koralami stroi.

Na ziemi krańcach — u niebios podwoi  
Zachód pożogą rozbłyska i płonie.  
Słońce się w kępy macierzanki kładzie  
I chłodząc w rosach rozpalone skronie,  
Ostatek blasków na wrzosa rozlewa.  
Po migocącym w przeźrocach owadzie  
I na purpurę jesiennego drzewa  
Spływa zachodu płomienna ulewa.  
Płomień się złotem chryzolitowi mieni,  
A potem róże rozpyła i gaśnie,  
Różanych pyłów mrok na lasy wionie  
Po mchach się ściele — na mgieł welonie,  
I wywołuje o dryadach baśnie,  
Że z mgły powstały — z róż, tęcz i z płomieni.

W ciepłym szkarłacie rozlanej krwi świeżej  
Na liściach kalin płowo rozciągnięty  
Królewic lasu — serc sarnich królewic  
Kona samotny. Orszak smukłych dziewic  
Wraz z hukiem wystrzału — z poświstem kuli  
Stadem błyskawic rozbiegł się po lesie.  
Uszy po śmigłych, giętkich szyjach tuli

W ciepłym szkarłacie — w mchach królewic leży.  
W obłoku dymu — z bólu w łuk wygięty  
Kona i patrzy przesmutnemi oczy.  
Szafir mu źrenic mąci się i mroczy  
I ła za po ślicznym pyszczku zwolna ścieka,  
Taka bolesna, jak w twarzy człowieka.  
Przegiął jak łabędź w skurczu śmierci szyję,  
Rogi wbił w ziemię. Drgnął — westchnął — nie żyje.

W rosie wieczornej krwi kałuża dymi,  
A dym z niej ciepły się ze mgłami miesza;  
Krwawych oparów z mrokami nocnymi  
Opada na świat gęsta cicha rzesza.

Cisza. Słysząc jak krew w skroni tętni,  
Jak listek suchy o gałęzie trąca.  
I coraz ciszej — mroczniej — głuszej — mętniej —  
Cień wszystko topi i w noc czarną zmąca  
I coraz ciemniej — puściej — martwiej — smętniej...

Alf.



## CZŁOWIEK—KOBIEA. (Z CYKLU VPADEK).

Świątynię widzę wyniosłą, niby symbol bólu ludzkiego, jękiem wieżyc swoich o niebo bijącą.

Otwarty chór jej, ku niebu łzami organów swoich o litość żebrze; posadzek swoich głazami wieczne *memento mori* szepce świątynia.

I w ponurym cieniu ścian jej marmury połyskują, konających świeczników westchnienia mkną po nich i giną w ciemności.

A pośrodku grób otwarty czernieje, kwadratowy śmierci obraz, okropny umiarem swoim.

Milczą dzwony świątyni; o śpiewie zapomniali.

Milczą organy jej; modlitwa zastygła...

Nie masz pobożnych; uciekli.

To konającej ziemi świątynia.

I świątynia była pusta i cicha i ciemna.

Aż wreszcie nadeszła godzina, kiedy zwątpienie jako wiatr północny na ziemi powiało.

Wówczas pochylały się kłosa serc ludzkich z szumem, a ziarno na ziemię padało, by umrzeć.

I dumne kłosa w słaby powój się zmieniły i poczęły pełzać w koło, szukając na czymby się wsparły, i nie znalazły niczego.

A słońce na ich upadek spojrzawszy, wzgardziło, i zasłoniwszy twarz swoją uciekło.

Tedy zapanowały cienie.

I pośród ciemności krążyły ludu gromady i przystawając wznosiły ręce ku górze i wyły.

Albowiem głód wnętrzości im szarpał a zwątpienie serca im paliło.

Język zaś od jęków do ust im przyschł, a oczy od łez im gorzały.

A nadzieji znikąd nie było, li otchłań czarna paszczę swą ku nim otwierała.

Więc głos swój raz jeszcze podnieśli i wołali głosem wielkim, ale nadzieja nie przybyła.

Tedy zapragnęli umrzeć.

I rzucili się z ludu najtężsi aby sobie śmierć uczynić, ale dłonie im opadły: nie mieli bowiem odwagi.

Trwali więc w milczeniu, na nic już nie czekając ni pragnąc niczego; i zdało się że już za życia pomarli.

Ale znów podnieśli głowy.

Powstał bowiem mąż jeden i wskazując na świątynię oną dziko zawołał »tam szukajmy czego nam brakuje«.

I bluźnił straszliwie przeciw kościołowi onemu, kędy ideały ich były schowane, kędy łzy i prochy ojców ich spoczywały i oni spocząć mieli; a oni słuchali milcząc.

Ale kiedy człowiek on rzucił się ku świątyni, wszyscy rycząc ponuro pobiegli za nim.

I od lat wielu pierwszy raz ujrzała ich świątynia.

A oni wszedłszy stanęli zdumieni ujrawszy światło to mdlejące, albowiem do ciemności przywykli.

Potem znów pragnienia w nich powstały i śpiewać poczęli jęcząc:

»O światło wiekuistego żywota! do ciebie biegniemy jak do czystej wody, ochłody szukając u jasnego źródła twego«.

Ale słowa pieśni uwięzły im w gardle i powstał tylko płacz powszechny, aż marmurowe ściany zadrżały.

I płakali pierwszy raz od początku żywota swego byli to bowiem sami mężowie na nędzę zahartowani.

A była to ich świątynia największa.

Skarby wieków w niej były złożone; złote kielichy pajęczyn mgłą osnute i zbroje rdzą pokryte....

I myśl wieków w marmur związana....

I miłość wieków...

I wiara wieków...

I rzec by można że dusze ich tam były złożone.

Wyrosła ta świątynia ponad świat cały; rozpostarła skrzydła swoje i blask słońca zaćmiła.

Wreszcie stała się światem całym i nią był świat cały.

I zdało się, iż nie ona dla ludzi była stworzona, lecz oni na strażników jej zrodzili się.

I długo, długo chodzili w nią wpatrzeni, o nędzy swojej zapominając.

Aż przyszła godzina, kiedy lampom złotym stali się podobni, gdy olej cenny wypali się, i li dym i popiół pozostanie.

Wówczas świątynia opustoszała, a oni zostali odarci ze wszystkiego, co kochali.

A teraz stojąc przed ołtarzem ryczeli:

»Myśli nasza wesprzyj nas...

»Miłości nasza ocal nas...

»Wiara nasza podaj dłoń tonącym...

Wyszedł przed ołtarz starzec siwowłosa, oni to przed laty stróżem go skarbów obrali.

Tedy zapytał ich czegoby chcieli.

A oni wyli »oddaj nam skarby nasze«....

I wyciągnął starzec rękę, słowa szepcąc modlitwy.

A wtedy zapadła się ściana ołtarzy i ukazał się skarbiec.

Oni zaś patrzyli weń z przerażeniem, pusty był bowiem, li w pośrodku garstka niewielka popiołu została.

Starzec zaś wznosił ręce do góry i zawołałszy głosem wielkim »nie masz Go« skonał.

A w tej chwili pogasły światła świątyni i zrysowało się sklepienie.

»Kobiety nasze, czemuście nas opuściły?

Czemuście poszły nad brzeg strumieni wyschniętych i łzamiście je napełniły...

Czemuście w lasy uciekły między zwierzęta polne i na rozdrożach czemu z puszczyki płaczecie...

Czemuście w popiołach domów zgorzałych usiadły, czemu jak psy nad ogniskiem zburzonym wyjecie.

Wszakże i my z rozpaczą błądzimy, w niebo patrząc żali Boga nie dojrzymy.

Wszakże i my w sercach naszych ukojeń szukali, a znaleźliśmy ogień który łzę nam wysuszył.

Wszakżeśmy także pytali nadaremno i długo wołaliśmy, a echo tylko było nam odpowiedzią.

Ale choć my samotni i słabi, w was siła nasza; wy nam skroń wieńcem opaszecie i skrzydła dacie u ramion.

A wówczas rozległ się jęk cichy kobiet »nie rozumiemy was«

I oni znów poczęli »Dusze nasze przepaściami są ciemnymi, żali w oczach waszych nie ma światła by je rozświetlić?

Myśli nasze morzami są zwątpień, żali nie macie wiary by go odbudować?

A one rzekły »Nie rozumiemy was«

Tedy oni poczęli wołać »Wszakżeście wy dane nam, abyście cierpień nam ulżyły.

Wyście aniołami na to stworzone by nam otchłań zakryć skrzydłami.

Wyście królowe stworzenia, kędyż władza wasza?

Wyście Boga objawieniem, kędyż mądrość wasza?

A one wyszeptały »Nie rozumiemy was«. Wyście dla nas inni, nie znani, obcy.

Jak u szaleńców oczy wasze w dal utkwione, wiatr rozwiał włosy wasze, usta słowa bez związku rzucają.

Gdzie wasz uśmiech pożądania pefen, gdzie słowa pieszczoty, gdzie ruchy namiętne wasze.

Czemu szaty wasze ambrą i różą nie wonieją, czemu włos wasz nie utrefiony jak hyacentu kwiaty?



Co znaczy kij ten żebraczy w dłoni waszej, czemu stopa wasza szuka cierni i kamieni ostrych?

A jeśli do nas przyjdziecie czemu pytacie dziko: »Dusza moja otchłaniają jest rozwartą, kobieto czy ty mnie rozumiesz!

Jakież słowa pociechy dla was znajdziemy?

Od uśmiechów naszych odwracacie oczy.

Czy wdzięki nasze wraz z rozumem waszym odleciały. Zaiste nie rozumiemy was.

A wtedy oni poczęli złorzeczyć i bluźnić.

»Zaprawdę wyklęło nas niebo od początku naszego.

Oto porodziliśmy się słabi i bez wiary aby strzec garści popiołów, którą wiatr rozproszy.

I walka była naszym udziałem, i praca bez końca i bez pożytku, a spokoju nie zazналиśmy.

A kiedyśmy światła pragnęli, słońce oblicze swe zakrywało i mieszkaliśmy pośród nocy.

I kiedyśmy cierpieli bez miary, nie było nikogo coby nas zrozumiał i pocieszył.

Bo oto ironia przeznaczenia przebrała zwierzę w szaty anioła i dała nam za towarzyszkę.

O ty który tam panujesz, weźmij zwierzę to, a nas uwolnij od istnienia w tem bagnisku rozpacz.

A wówczas zstąpił płomień z nieba i spalił one kobiety-anioly.

Oni zaś pozostali samotni.

Aż powstał pomiędzy niemi prorok pewien i zawołał »Ja waszą modlitwę wypowiem«

»O źródło wiekuistej jasności; jeśli tam za błękitami istniejesz, rozprosz te ciemności nocy.

I powróć blask słońcu i zieleń drzewom i wonie kwiatom jako przedtem było.

I spraw niech morze jak dawniej szumi spokojnie w księżycu jasności i niech znów śpiew ptaków zabrmi w lasach szemrzących.

Ale nam nie wracaj dawnej siły i wiary i miłości, — o światło wiekuiste, — myśmy zbyt znużeni życiem naszym i walką naszą na ziemi.

Zwichnięte są skrzydła nasze, i dusze nasze ku słońcu już nie wzlecają i w muł nie wpełzną, bo pragną spoczynku wiecznego, cichego i jasnego.

Oh nie wracaj nam dawnej myśli naszej, bo zwątpienia z nią powrócą, a wtedy upadniemy by się więcej nie podnieść.

I panami ziemi nas nie czyn, bo berło dawno nam już z dłoni wypadło, a płaszczy książęcy zbutwiały.

A nie dawaj nam towarzyszek naszych, tych kwiatów w miłości cieplarni, bo miłość wytliła już w sercach naszych.

Ale daj nam władczynię jak szatan dumną, a jak Bóg mądrą i miłosierną.

I niechaj ona będzie myślą naszą i siłą naszą i świątynią, ale pełną życia nowego, nie pamiętek spróchniałych.

Niech się myśl nasza przed rozumem jej ukorzy, niechaj kark nasz ugnie się pod stopą jej; ale niech nas wesprze.... ocali.

A kiedy cierpieć będziemy, niechaj ból nasz zrozumie i nie odwraca oczu od nędzy, ale niech balsam leje na rany duszy schorzałej.

A kiedy się wahać będziemy niechaj wola jej niemoc przełamie i do czynu nas popchnie.

Niech nam będzie słońca promieniem co do życia słabe kielki pobudzi, niechaj będzie odrodzeniem ziemi.

Niechaj będzie kapłanem naszym.

Niechaj będzie królową naszą.

Niech nam Boga zastąpi na ziemi.

Niechaj będzie kobietą-człowiekiem odrodzonym, przyszłością świata.

Oni zaś powtarzali za nim modlitwę oni, mowa ich bowiem nadzieja krzepiła.

Aż wreszcie krwawa łuna jaśnieć poczęła na dalekim nieba skłonie.

I ozwały się tysiące głosów, zmieszanych najpierw, później związały się w harmonię anielską i potężniały w pieśń wielką, nieśmiertelną, rosły jak pierwszych chrześcian wiara, i płynęły ku nim... cierpiącym.

Wówczas zdało im się, że słyszą trąby grzmące i chórów głosy niosące śpiew zmartwychwstania.

Łuna zaś wzrastała. I u początku swego jako słońce jasną była, później czerwoną, krwawą, i aż na przeciwnym nieba skłonie konała.

I wtedy ujrzeli się w świątyni. Jak tamta ku niebu była patrząca, tylko ściany jej marmury i złoto kryły, i lamp w niej tysiące jaśniało.

Tam zaś kędy były ołtarze i skarbiec, otwarta była droga hen — w nieskończoność ku łunie onej.

Aż nagle organy świątyni zabrzmiały tryumfu pieśnią, radością zaryczały dzwony, i ściany nawet zdały się wołać radośnie... »Witaj, witaj królowo« jakby w wieczór zmartwychpowstania Pańskiego.

I na drodze ujrzano rydwan. Siedm koni białych go wiozło, dzikich jakby hippogryfów zaprząg, aż wóz złoty jęczał od ich biegu. A na wozie stała kobieta. Naga i dumna swoją nagością; czarny włos jej wicher rozwiewa i na ramiona rzuca; aureola światła wkoło skroni jej, w prawicy pochodnia złota ku tłumom wyciągnięta.

Droga jej tryumfem jednym. Koło wozu, pył drogi, drzewa, niebo, świątyni mury zdają się w jeden pean wybuchać i ryczeć radości śmiechem z płaczem zmieszonym.

A oczy jej czarne płoną. Usta na wpeł otwarte czekać się zdają by słowa wyrzucić ogniste, ona cała drzeć się zdaje tym świętym zapałem, co niegdyś żył i umarł na ziemi.....

Idź, idź prędzej do tych tysięcy zwątpiających co tego ognia czekają — od wieków.

*Salve regina terrae.*

Witaj ziemi królowo, matko pokoleń, światła ognisko.

Witaj przyszłości symbolu, przyszłości myśli, przyszłości wiary, potęgi; przyszłości woli wiekuista.

Witaj tęsknoto ludzka li w przyszłość wpatrzona, a za siebie zapomnienia kwiat miotająca.

Witaj feniksie miłości, z duszy popiołów się odradzający, nigdy nie wyczerpany, wiekuiste młody.

Witaj zbawienie nasze, na krzyżu zwątpień odcierpienie, witaj Eloie ludzka ze łzy naszej zrodzona.

Witaj Gangesie niebiański, lotosy rodzący.

Witaj nam, witaj po nocy ciemnej i zimnej; nocy lodów północnych.

Witaj po długiej samotności.

*Salve regina terrae.*

A ona stanęła przed niemi i ze źrenic jej promień szczęścia wytrysnął.

Rydwan jej w ołtarz wystrzelił na tysiącu stopniach stojący; pochodnia jako słońce potężnie jaśniała.

A oni u stóp jej rzucali się, śmiejąc się i płacząc z radości i rycząc dziko jakby rozum stracili.

A organy brzmiały radośnie,

A dzwony śpiewały hymn tryumfu.

A tysiące światel jaśniało.

Albowiem obchodzono święto zmartwychpowstania ludzkości.

I w tedy weszło słońce w blasku wielkim i zajaśniało światu zdumiałemu jego wspaniałością.

*Salve regina terrae.*



Z CYKLV »KRÓLEWSKIE SNY«.

PIEŚŃ MIŁOŚCI.

Pierś moja jest jak harfa droga i dźwięczna bardzo!  
Oto położę palce na mej piersi i zbudzę śpiące  
w niej struny!

Ja śpiewam!  
Niechaj wonie kwiatów otoczą me czoło!  
Wiatr nad łąkami lecący niech przyjdzie usta me  
całować!

Niechaj strumienie szemrzące i rozplakane drzewa  
ucichną a słuchają!

Ja śpiewam!  
Ale Ja śpiewam dla Ciebie, o lubo moja!  
Śpiewam dla Ciebie, boś jest jak kwiat wonna  
i niewinna jak kwiat!

Śpiewam dla Ciebie, bo chcę, byś była szczęśliwą!  
Pieśń moja daje szczęście i miłość!  
Albowiem Ja jestem szczęśliwy i kocham!  
Nie drzyj!

Patrz!  
Ja jestem przy tobie!  
Ja śpiewak!

I kocham cię, iżes jest wonna i czysta!  
Ażali chcesz, a każę drzewom szumieć dla Ciebie?  
Ażali chcesz, a uczynię ci wieniec z gwiazd i pod-  
nózek z tęczy różnobarwnej?

Co chcesz — powiedz! Ja wszystko mogę!  
Jestem potężniejszy niż mocarze i króle ziem!  
Ja szalony pieśni król!

Nie bój się! Jestem czysty i kocham cię!  
Jestem odchodzący z tego świata i święty!  
Oto stoję nagi i rozpieśniony jak lutnia!

Błękitne światło księżycy pieści moje ciało!  
Gwiazdy zakochały się we mnie i deszczem lecą  
na me czarne włosy!

Stań przy mnie!  
Bliżej!  
Naga, czysta i piękna, stań pod baldachimem mej  
pieśni!

My oboje!  
Jak dwa dźwięki, dwa westchnienia, dwie wonie!  
Ja cię kocham!

Słyszałaś już — i powtarzam raz jeszcze: Ja cię  
kocham!

Miłość moja nie jest z tej ziemi — i ty nie lękaj  
się dotknięcia moich ust!  
One cię nie splamią!

Pocałunki moje są jak rosa opadająca na twe  
włosy!  
Jak blask księżycy, który całuje nocne kwiaty!  
Rosa jest świeża i wonna, a blask księżycy nie  
plami!

Kwiaty są nagie, czyste i piękne — a wstydu nie  
znają!

Ty jesteś kwiatem, bo Ja cię kocham!  
Przeto powiem Ci tajemnicę!  
Złóż ręce i patrz w moje oczy!

Ja śpiewak!  
Niebo i ziemia i cokolwiek jest — jestem Ja!  
I wszystko, co piękne, wszelki dźwięk i woń —  
jestem Ja!

I ty, ciało twoje i myśl twoja — jestem Ja!  
Albowiem moja dusza czuje wszystko, a myśl moja  
jest jak błyskawica, ogarniająca przestwór od końca  
do końca!

Ja śpiewak!  
Wszystko jest myślą moją i moją miłością!  
I wszystko jest władzą moją i mocą moją kró-  
lewską!

Pieśni moje są jak gołębie, które oblatują świat  
cały i wszystko piękno!

I wracają do mnie i całują usta moje!  
A w czym się zakochają — to mojem jest!  
A przeto mówię tobie, kto myślą i sercem świat  
obejmie ten jest światem i panem świata!

Powiedziałem ci, bądź więc spokojna!  
Rozwiąż złożone ręce i zarzuć je na moją szyję!  
Fale twych włosów zasieję gwiazdami i gwiazdy  
z nich zcałuję!

Naga, czysta i piękna — jesteś moja!  
Ale jesteś mi święta, jako Ja jestem święty sam  
sobie!

Jesteśmy święci i szczęśliwi oboje, gdyż Bóg mie-  
szka w naszych piersiach!

Ja Boga poznałem i powiedziałem o Tobie!  
A On słyszał moje słowa i pieśń, którą śpiewałem!  
Ale Ja ją śpiewałem dla Ciebie!

Albowiem chciałem, byś była szczęśliwą!  
Ja śpiewak!

Jerzy Żuławski.





JERZY KARASEK.  
Z NAJMŁODSZEJ LITERATURY CZESKIEJ.

Żadna może z literatur słowiańskich naszej doby nie jest bardziej chaotyczna i bardziej różnorodna od literatury czeskiej. Wszystkie ideje, które przeszły po powierzchni literatur zagranicznych, pozostawiając na nich większe lub mniejsze bruzdy, znalazły swój odbłask także w Czechach. Viktor Hugo nie stworzył w zakresie retoryzmu i werbalizmu większych rzeczy od Jarosława Vrchlicky'go; — przebyliśmy także fazę realizmu i naturalizmu, a dzisiejsza najmłodsza literatura czeska hołduje Verlaine'owi i Mallarmé'owi bardziej konsekwentnie i z większą uległością niż sama Francja. Przyszedł olśniewający wpływ Huysmansa i Barrèsa, i przyszedł bardziej jeszcze olśniewający wpływ Przybyszewskiego, i literatura czeska wydała wówczas niektóre najlepsze swoje rzeczy, — w krytyce ideje Taine'a, Hennequin'a, Guyana, France'a, Lemaître'a i innych, dokonały zupełnego przewrotu. Jak widzimy, przeważającym był tu wpływ przedewszystkiem literatur łacińskich. Rasa germańska w mniejszej mierze zapłodniła myśl czeską, jakkolwiek i od niej wyszedł niejeden nowy bodziec. Prowodyr modernistycznej krytyki czeskiej, zmarły H. G. Schauer był zupełnym anglomanem, a T. G. Masaryk, głęboki filozof, który całą młodą generację nauczył myśleć nowożytnie, który wniósł do mózgu młodzieży całą powódź nowych myśli, nowych idei, jest umysłem nawskroś germańskim. Najślabszy wpływ wywarła na literaturę czeską — rasa słowiańska. Czytano wprawdzie gorliwie dzieła np. Tołstoja, Dostojewskiego, Turgeniewa, ale z drobnymi wyjątkami nie pozostawiły one po sobie żadnego śladu. Rdzennie swego, oryginalnego, czeskiego wydała czeska literatura bardzo mało. Jestto fakt zajmujący. W Czechach istnieją literaci, którzy stworzyli względnie poważne i bardzo poważne rzeczy, ale niema tam wprost żadnej literatury, to znaczy literatury, któraby ujawniała się jako całość mimo wszelkiej różności swych przedstawicieli tak, jak ujawnia się w typowej swej czystości np. literatura angielska, albo tak małe literatury jak duńska i norweską. Wiem, że zgorzszą niejednego gorliwca u nas w Czechach, konstatując tak nagą fakt, ale muszę być szczerym wobec czytelnika polskiego, dla którego tę informację przeznaczam. I dodaję odrazu: niema i nie może być w Czechach zupełnie ustalonej typowej literatury. My Czesi jesteśmy dotychczas jeszcze nierozwiniętym, nieustalonym narodem, narodem, który jest jeszcze na drodze do ostatecznego skryształizowania. A niegotowy naród nie może mieć gotowej literatury. I to jest jasne. Pokąd organizm narodu złamany tyłu katastrofami i wskrzeszany sztucznymi iniekcjami jest w stadium fermentowania, niespokojnego rozpływania się i rozproszenia, pokąd organizm narodu ugina się i chwieje podwiewem wszelakich wicherzyc, które wstrząsają jego rozłożystą, młodą, rozbujałą koroną, pokąd w coraz inne kształty i formy się przyobleka, potąd literatura jego musi być zmienna, chaotyczna, bez wyrazu, musi wchłaniać w siebie rozliczne wpływy, musi być niepewna, niegotowa. Tamy ochraniające dookoła ten mały naród są rozwalone, a przez ich otwory przelewają się w samo jego wnętrze żarłoczne fale obcych wpływów, obcych pośrednictw. Mroki dusznych woni przelewają się w ojczyste sady z rozległych, szarych równin cudzych zagród, bo zagroda czeskiego piśmiennictwa zasadzona i hodowana w bezpośrednim ich sąsiedztwie, nie jest od nich oddzielona najdrobniejszym nawet płotem. Wobec tego piśmiennictwo czeskie musi i może się tylko przystosować do tego, co

płynie i toczy się na czeskiej glebie, co ją użyźnia i zapładnia, — szukać w tem co obce i przejęte, kolei, drogi, formy dla własnej twórczości, wyszukać tonów i barw, któreby można przenieść na własną paletę, i wreszcie musi być szczęśliwym rybakim i myśliwym w tym żywiole, w którego falach inaczej czeska literatura utonąłaby wśród rezygnacji i osłabienia. Przez to literatura czeska położy grunt pod swoją sztukę, sztukę, która wydobywając na jaw psychikę swych twórców, ujawniaby zarazem współczesną psychikę czeskiego narodu. W ten sposób powstanie, wedle terminu Hennequin'a, sztuka narodowa, odżywiona i przejęta rasą i narodem (La critique Scientifique p. 162).

I ku temu celowi zdąża najmłodsza literacka generacja czeska bądź świadomie, bądź bezwiednie. Porzucając w poezji werbalizm i retoryzm oraz klasyczną i barbarzyńską mitologię jako puste dźwięki staropatriotycznej poezji i zwracając się ku wewnętrznemu życiu duszy, porzuca w powieści rozczulające i sentymentalne powiastki historyczne w stylu takiego Aloizego Jiraska et consortes, a stara się podać i wytworzyć syntezę życia w utworach pełnych barw i lśniących, ruchliwych rytmów... W dramacie znika stara, zarzewiała maszynerya melodramatu, i kiedy dawny dramaturg ujarzmił tylko wzrok, słuch i fantazję, to nowożytny dramaturg dąży do tego, aby ujarzmić wnętrze, uczucie i duszę, ażeby napiąć zajęcie widza sugestją wartości psychicznych, a nie sugestją wartości zewnętrznych starego dramatu; dramat nie jest już zawrotną, niedostępną pozą awanturnicznych przygód jakiegoś bohatera lub króla, ale jest obrazem czynów zsyntetyzowanych w wyraźnej linii... a widz nie przeżywa się podziwem lub grozą na widok czynów, którychby on nigdy nie był zdolny wykonać, lecz czuje się magicznie i nieprzepracie pociągniętym ku tym modrze szszarzałym, tajemnie w ciemni złożonym zwierciadłom psychicznym, przed które go stawia nowożytny dramaturg swoją chwiejną i niespokojną, nerwową duszą... Ale największy przewrót, jakiego dokonali młodzi w literaturze — to krytyka. Nie chce ona być dogmatyczną, skostniałą estetyzującą, w pewne niezachwiane formuły i schemata wtłoczoną krytyką, lecz żąda dla siebie płodnej niestałości, wszelakiej wolności należnej gałęzi sztuki, która na tamsamym szczeblu stoi, co którakolwiek inna. Artysta dla swych namiętności i uczuć, chce żyć dla cieniów wewnętrznych swych kaplic, chce hodować swe wnętrze z całą płomienną barwą i kwiecistą wonią duszy, z wszelkimi jej zwątpieniami, a wszelkimi odpływami i przypływami i mglistością uczuć...

W Otokarze Březinie poezja czeska doszła do swego kulminacyjnego szczytu. Jest on twórcą poetyckich rapsodij, w których kosmiczne wizje spływają się w jedno z życiem indywidualnym poety. Są to feeryczne barwy, woni, obłoków i cieni, i są to głębokie a mistyczne intuicje milczącej Tajni ujawniające olbrzymie perspektywy przestrzenne i czasowe. A jest to poeta odczuwający miazdzącą siłę illuzji i chroniący się przed nią coraz bardziej w niezmiernie wyżyny swojej myśli, gdzie wszystko, co dusza przeżywa, czem faluje i cierpi, jest tylko symbolem nadziemskiego życia, które rzuca swe cienie w przemijającą jednodniowość życia ziemskiego.

Antoni Sova jest poetą refleksyjnego samoudręczenia. Jego dusza pełna jest otuchy i kipiącego uczucia — ale zarazem pełna sceptyzmu i udręczającego krytycyzmu. Wiersze jego ujawniają tragikę duszy, która szuka gruntu dla swego bytu, i która znajduje tylko grunt niszczący i zabójczy dla organów, którymi chciała się wessać i pograżyć w żyznej, pożywnej glebie. A czy to będą protestujące gniewy i nienawiści jednych rytmów, czy będą to martwości zcichłe



i w srebrzyste kręgi ujęte rytmy innych wierszy, wszędzie ukazuje się poeta wrogim dla swego otoczenia, człowiekiem, który nienawidzi swego środowiska za zadane mu rany... Jest to liryk w wielkim stylu, jeden z tych, dla których, jak dla Goncourt'ów, »widzieć, czuć i wysławić« jest naczelnem hasłem sztuki.

Poetą psychicznego egzotyizmu jest niedawno zmarły Karol Hlaváček. Jest to poeta tonów somnabulicznych, przepojonych aż przerażającym pragnieniem zbadania najwstrętniejszych drgnień duszy. Styl jego wyrafinowany, japonizujący, wydobywa czasem dźwięki łagodne i głębokie jak stara, wierna gęźba... Talentem pełnym gwałtownej werwy i najbardziej gwałtownym poetyckim temperamentem czeskim jest St. K. Neumann. Jest to wicher, który wszystko ze sobą unosi i wszystko chaotycznie zmiata. Ale w tej sile i gwałtowności jest wielki, płodny rozmach twórczy. Ze wszystkich młodych, St. K. Neumann najbardziej może zajmuje się współczesnym życiem czeskim, którego marność i pustota zmuszają go do protestu. Dla łagodnej swej ironii i ideowego dandysmu Viktor Dyk znalazł oryginalne akcenty w krótkich piosenkach o samodzielnej, artystycznej formie.

W powieści Wilhelm Mrštík (w Świętej Łucyi) rozwinął wspaniałą paletę lśniących, radosnych, ognistych barw opisowych, całą gwałtowną powódź, cały wir tonów i półtonów, woni i zapachów, światła i cieni, linii i kształtów... Niektóre kartki z »Kartki Miłości« Zoli albo z La Faute de l'Abbé Mouret. Społeczno-etyczne tendencje podkłada swym chmurnym, pesymistycznym, duszną atmosferą boleści i cierpienia przesyconym obrazem J. K. Slejhar.

W dramacie Jarosław Hilbert (w »Winie«) zajmuje się fatalnym i trudnym problemem życiowym o moralnej czystości, a w dziele p. t. O Bogu stworzył dramat mroku, trwogi i grozy, dramat wypłoszonych cieni i rozkołysanych, złowieszczych, ponurych dzwonów... duszną atmosferą nieszczęścia i fatalizmu... patologiczny epizod religijnego obłąkania... Hilbert jest najsilniejszym czeskim talentem dramatycznym, sztuka jego ma tak silny dech, że przywodzi do milczenia wszelkie zarzuty, jakiego można stawiać ze względu na ideową stronę jego dramatów.

W krytyce Iwią część twórczej pracy wykonał F. X. Šalda swemi studjami, z pośród których pierwsze miejsce tak ze względu na stronę ideową jak stylistyczną zajmuje Synteza w nowej sztuce. F. X. Šalda w znacznej części jest twórcą nowej krytycznej frazeologii czeskiej — jest to niespożyta zasługa jego olśniewającej, bogatej indywidualności krytycznej. Śledzi on przede wszystkim cele krytyki socjalnej, pogładowej i obrazowej, postępuje analizą socjologiczną i wydaje utwory krytyczne zbiorowo i organicznie. Jego psychologiczna introspekcja jest zdumiewająco przenikliwa. Zużytkowuje on rezultaty nowożytnej metody pozytywnej, przyczem plastyka jego dykcji zamienia całe kartki jego krytycznych studyów na artystyczne utwory o rzadkiej sile i wykwintnie pięknej formie. Ernest Prochaska z nieco mroźnym ale płodnym sceptycyzmem, złożył w szeregu studyów i referatów swoje przenikliwe badania i rozbiory pełne rozmachu, starając się w nich wyłuszczyć syntezę myśli i dążności tak obcych jak swojskich autorów. Jego propaganda Nietzschego i Stirnera z jednej, Przybyszewskiego z drugiej strony, zapłodniła szczęśliwie najmłodszą literaturę, a pod redakcją pisma »Moderni Revue« zgromadziła się i urosła powoli cała, niezawisła generacja literacka...

F. V. Krejčí, który z początku kładł nacisk na sztukę wyrosłą organicznie z ludu i temu ludowi słu-

żącą, w ostatnich czasach odwrócił się ku dyletanckiemu eklektycyzmowi, wybierając ze wszystkich form sztuki jednolite tony, by marzyć o ich syntezie w ostatecznej, integralnej Sztuce... Jest to elastyczny umysł krytyczny, którego obfity szereg utworów krytycznych złożony jest w czasopiśmie »Rozhledy«.

I jeszcze wiele innych imion ciśnie mi się pod pióro, ale nie chcę się zbytecznie rozszerzać, podaję tylko nomenklaturę, bo szło mi jedynie o krótki przegląd młodych dążeń w czeskiej literaturze... Chciałem tylko wskazać, jak ten wielki zwrot w sztuce, który dokonał się w ostatnich czasach w piśmiennictwie europejskim, odbił się na powierzchni czeskiej literatury głębokimi refleksami, i jak także u nas w tem nowem stadyum rozwoju zarzucono stare pojęcia, i jak na miejsce starych form, skostniałych szablonów, powstały wprawdzie chwiejące, niepewne i błakające się jeszcze, ale wrzące, głębokie i szczerze dążności do osiągnięcia i urzeczywistnienia marzeń i ideałów pełnych nienawiści dla banalności życia codziennego, dla banalności »logicznego życia mózgu«, jak mówi szyderczo Przybyszewski w przedmowie do »De profundis«. »Przejawy czystego życia duszy, namiętności indywidualności, stanów sumnabulicznej ekstazy«, przejawy świata, jak się odzwierciadlają w rzadkich godzinach, w godzinach halucynacji i ekstazy« — oto, co chce ujawnić młoda generacja.

Taka jest literatura naszych młodych. Literatura cicha, wewnętrzna, pogrążona we własnym swem pięknie, krocząca bez huku i wrzawy obok szerokich chodników, tłumnych targów i pstrokatych bazarów oficjalnej literatury — niby hardy wygnaniec, rzekający się wszelkich korzyści i wszelkich banalnych powodzeń. Nie chce służyć jednodniowym zabawkom tłumy, chwilowym nastrojom, drobnym zachciankom, modnym korzyściom. Chce stać nie wśród kupczącego, brudnego życia, na brudnych ulicach współczesności, chce stać ponad życiem, ponad rzeczywistością, chce podać syntezę, nie błyskotliwą stronę zewnętrzną, ale nieginącą, absolutną Istotę. Takie perspektywy rozwiera obecna poezja czeska, to są jej najgłębsze wytwory, to są jej najintensywniejsze światła, to są jej najrzadsze artystyczne bizantyjskie kaplice. I o tych chciałem powiadomić czytelnika polskiego. O innej literaturze czeskiej, o tej szerokiej, bezbarwnej, księgarskiej literaturze, która wyrabia płaskie powieści dla burżuazji i rozczulające dramaty dla sceny, która pisze tużinkowe nowelle do dobrze płacących czasopism i kalendarzy, i bierze nagrody z Akademii za wiersze dla czytanek — o tej literaturze milczę. Zwykłem mówić o sztuce, a nie o przemyśle.

W Pradze, 6 grudnia 1898.





Upraszamy o odnowienie prenumeraty, celem uregulowania nakładu.

**KSIAŻKI.** *St. Rejmont: »Ziemia obiecana«.* — Warszawa 1899. — I my, pasierbowie kapitalizmu, mamy naszą »ziemię obiecaną«, ziemię miliony rodzącą i sypiącą hojnie w łakome garście aferzystów, żydów, niemców i polaków-lodzermensch'ów, ziemię, przeklinaną przez tych — którzy padli w walce »wszystkich przeciwko wszystkim«, przeklinaną przez nowożytną chair à canon — robotników za pracę, krew i życie, które z nich wysysa. Jak męcząca halucynacja wgrzyżają się nam w duszę potworne obrazy, zasnutę kłębamii dymów, rozpełzłych między potężnym krwawym lasem kominów i długimi ciężkimi cieliskami fabryk, powleczone kurzem i oparami, co drgającą mgłą przesłaniają kontury roztrzęsionych w szalonym wściekłym rozpędzie maszyn i nieruchome, pochylone, nieskończenie smutne sylwetki robotników; wwierca się nam w mózg wrzaskliwy, niesforny chór świstów fabrycznych, chaos splełanych szumów, szczyków — chrzęsty, warczenia, piekielny turkot kół, trzęsących ścianami, wyjących jakby z nadmiaru wysiłku — a czasem zapada w duszę krzyk straszny, rozpaczny, ryk nieludzki, — a w oczy bluzga krew, krew ofiary, porwanej, zmiażdżonej, na strzępy krwawe zmienionej. — Dusza wdryga się i krzyczy, strach i wstręt w nią wpelza, a cała nasza istota świadoma i myśląca podnosi bunt i protest przeciwko niezasłużonej, niepojętej, nieludzkiej męce tysięcy — Gehennie codziennej bez końca, bez wyjścia — przeciwko stekowi szachrajstw, podłości, złodziejstw, którymi zwierzę ludzkie zwycięża i po karkach zwyciężonych dochodzi do celu — miliona, przeciwko tym królom i królikom-Bucholcom, Szajom, Grosalikom, Kesslerom, ich życiu idyotycznemu i bydłecemu, i przeciwko tym, którzy do tego królestwa miliona wdrzeć się pragną, zarówno jeśli przynoszą do walki absolutny zanik zmysłu etycznego — jak Moryc, czy też chłopską zaciętość i mocne pięści — jak Wilczek, czy wyrozumowaną, świadomą siebie chęć podeptania wszelkich »przesądów«, ludzkich uczuć i pojęć — byle dojść — jak Borowiecki. I smutek zalewa nam duszę, żal nad temi żywotami zmarnowanymi w męce i szamotaniu się, temi istotami ludzkimi, zamienionymi w bydło pociągowe pod groźą bata, lub z żądzy, głupiej, szalonej żądzy miliona, jakby ten milion mógł być równoważnikiem swobody, miłości, prawdy, słońca i powietrza — pełnego człowieczego życia, w chwili, gdy to życie już ucieka. Wcześniej zajrzał na dno prawdy Borowiecki, bo miał za sobą tradycję i wspomnienia chwil swobody i pełni życia — zapóźno, by uratować własne szczęście, dość wcześniej, by zacząć »stwarzać je dla drugich«.

»Ziemia obiecana« Rejmonta to epopeja kapitalistyczna, niesłychanie pełny i barwny obraz wielkiego przemysłowego centru, malowany jaszkrawie, z siłą nieomal brutalną, z takim bogactwem barw krzyczących i żywych, że czytelnik jest nim zahypnotyzowany, opanowany i zdenerwowany do tego stopnia, że ta Łódź nabiera dla niego kształtów olbrzymich, potwornego krwiożerczego zwierza, wabiącego zewsząd zdobyć, by ją pożreć. Z tem większą rozkoszą rozprężamy napięte aż do bólu nerwy i wchłaniamy spokój i ukojenie, jakie nam dają przepiękne, przezroczyste barwy malowane szmaty naszej polskiej przyrody. A to piękno natury, tak subtelnie całą wrażliwą duszą pisarza odczute, tem czystiej zarysowuje się na tle brutalnej szpetoty Łodzi, tak samo, jak delikatne,

piękne dusze »przeżytków« na tle drapieżnych, bydłych natur lodzermensch'ów. Są w książce Rejmonta wady: zdarzają się sceny nieprawdopodobne, robione, karykaturalne, brak jednolitości psychologicznej w niektórych postaciach, szczegóły się powtarzają — ale zarzuty te bledną wobec prawdziwie silnego wrażenia, jakie książka Rejmonta wywołuje. Literaturze przybyło jedno więcej dzieło młodego, silnego talentu. Jakim jest ten talent, jaką drogą, którą dotąd idzie, to dla mnie obojętne — wystarczy, że jest samym sobą i że piękno, życie i duszę ludzką przedziwnie czuć i malować potrafi. K-r.

**Z MUZYKI.** Ponieważ »Lutnia« jest Towarzystwem śpiewackim, przeto występ chórów powinien zajmować w programie jej koncertów pierwszorzędne miejsce. W ostatnim koncercie występ chóru ograniczył się do odśpiewania staroniderlandzkich, a właściwie »staro-niemieckich« pieśni ludowych Kremsera, nie przedstawiających żadnych trudności nawet dla chóru »amatorów«, a zatem i niewiele wymagających pracy ze strony dyrygenta. Wykonanie byłoby dobrem, bo chór śpiewał zupełnie dobrze, gdyby orkiestra trzymała się była w rytmie. Partję solową odśpiewał p. Stypkowski, a pozyskaniem tego śpiewaka zapelniał p. Steibelt po części lukę, jaka daje się odczuwać w partych solowych »Lutnistów«. Ze odtąd przynajmniej partya barytonowa znajdzie dobrego zawsze wykonawcę, zawdzięczać to może p. Steibelt Konserwatorium Towarzystwa muzycznego i prof. Marsosa z którego szkoły wyszedł ten nowy solista »Lutni«.

Orkiestra 13 p. p. wykonała poprawnie znaną suitę »Peer Gynt« Griega pozostająca znacznie w tyle za pierwszą jego tego samego tytułu suitą.

P. M. Matuszyńska, podobno artystka operowa, jest to śpiewaczka bez głosu, jakiegokolwiek szkoly i żadnego poczucia muzycznego, a śpiewem swym nawet najmniej wybrednego słuchacza nie mogła zadowolnić, skoro występ jej na estradzie przeszedł bez żadnych oklasków.

Jedyną nowością koncertu »Lutni« był koncert B-moll Czajkowskiego. — Utwór to nader interesujący, nie tak ze względu na fakturę, bo ta jakkolwiek hołduje nowszym kierunkom, to jednak pod względem formy jest dosyć szablonowa, a jedyną oryginalnością w formie jest to, że cały koncert poprzedzony jest niejako wstępem (Allegro non troppo e molto maestoso), gdyż główny temat części pierwszej rozpoczyna się dopiero od Allegro conspirito — jak oryginalnymi tematami rosyjskimi. Całość wspaniała, kompozytka ściśle symfoniczna, wymagająca wszechstronnej techniki palcowej, bo wszechstronne trudności przedstawia. Trzeba tam i gry szerokiej, tonu organowego, soczystego, jak we wstępie i lekkiego, powiewnego uderzenia, wywołującego tony jak gdyby brylantowe iskierki, jak w Allegro conspirito i kandytemy, jak w Audantino semplice i t. d. a i orkiestra zajmuje tam wcale niedrugorzędne stanowisko. P. Bylicki środków tych wszystkich nie posiada, interpretował więc myśl kompozytora jak umiał, zaś orkiestra 13 p. p. pokonywała liczne trudności nie zawsze z dobrym skutkiem. Dodać trzeba, iż fortepian, na którym grał p. Bylicki zupełnie nie nadaje się do sali koncertowej. L. S.

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

**Autorowi Demona zemsty:** Rzecz zupełnie przeholowana. Trochę to śmieszne.

**Grot.** Sonet nic nie wart.

**A<sup>2</sup>C.** Rzecz jeszcze niewyrobona, napuszona, nieszczerza. Zbyt młodzieńcze.

**Autorowi »Szału tworzenia«:**

Kazan staruj Seneka

Stij swyne zdaleka.



Upraszamy o odnowienie prenumeraty, celem uregulowania nakładu.